

PIOTR PAZIŃSKI

# KTO JEST ŻYDEM?

POWYŻSZE PYTANIE WPLECIONE JEST W ŻYDOWSKĄ HISTORIĘ OD ZAWSZE. BIBLIA MÓWI O SYNACH I CÓRKACH IZRAELA, ZWRACAJĄC UWAGĘ NA PRZYNALEŻNOŚĆ DO NARODU WYBRANEGO PRZEZ BOGA I DZIEDZICZENIE OWEJ PRZYNALEŻNOŚCI PO MIECZU. TALMUD (I WYWIĘDZIONE Z NIEGO PRAWO RELIGIJNE) MÓWI O MATCE. ŻYDEM JEST ZATEM TA OSOBA, KTÓRA MA (PRZYNAJMIENIEJ) MATKĘ ŻYDÓWKĘ I – JAK BY POWIEDZIELI NIEKTÓRZY – NIE JEST APOSTATĄ, NIE PRZYJĘŁA INNEJ RELIGII (CHOĆ I W TEJ SPRAWIE RABINI NIE SĄ ZGODNI).

Tyle definicja halachiczna wedle judaizmu ortodoksyjnego. Zasadniczo obowiązuje ona do dziś, choć łatwo zauważyć, że wystarczała jedynie w czasach, gdy znakomita większość Żydów żyła w żydowskich gminach, zawierała małżeństwa wyłącznie w obrębie tej samej grupy i trzymała się – pod groźbą wykluczenia ze wspólnoty – własnej religii i obyczajów. Innymi słowy: Żyd, który wspólnotę opuszczał, przestawał być Żydem, zarówno dla innych Żydów, a także, co istotne – dla świata. Oświecenie, emancypacja, nowoczesne definicje narodu wyraźnie zmieniły sytuację Żydów: nie wszyscy byli religijni, nie wszyscy też czuli się związani z żydowskimi gminami, choć często sami siebie postrzegali jako część *klal Israel*, wspólnoty Izraela. Co ważniejsze jednak, w przeciwieństwie do czasów dawniejszych, gdy chrzest albo

przyjęcie islamu w praktyce wystarczały, by osoba „przestawała” być Żydem w oczach nie-Żydów, w epoce nowoczesnej, gdy o przynależności narodowej zaczęły decydować terytorium, krew i rasa, Żydzi-apostaci i Żydzi-asymilanci, mimo wzmoczonych wysiłków na rzecz zerwania z własną żydowskością, wciąż uważani byli za Żydów. Więcej nawet: za Żydów uważali ich nie tylko goje. W miarę rozmywania się tradycyjnych kategorii przynależności i tożsamości, także wielu Żydów wciąż postrzegało apostatów czy asymilantów jako Żydów; Żydów grzesznych, niesolidarnych, ale i takich, którym życie (albo życie ich przodków) tak się ułożyło, że choć z „prawdziwym” żydowskim światem nie mieli już wiele wspólnego, to zachowali coś z własnego żydostwa, pozostając Żydami dla siebie, albo – co w XX wieku nie było bez znaczenia – dla innych.

Tytułowe pytanie „Kto jest Żydem?”, czy inaczej: „O kim wolno mówić, że jest Żydem?”, „Kogo możemy za Żyda uznawać?”, powraca raz po raz. Trapiło Dawida Ben Guriona – stąd jego sławny list do żydowskich intelektualistów; męczyło wielu rabinów, zwłaszcza tam, gdzie po Zagładzie trzeba było odbudo-

wywać instytucjonalne i społeczne życie żydowskie; nierzadko zastanawia dziś naukowców: historyków, socjologów, biografów, redaktorów żydowskich czasopism. Jakie kryteria przyjąć? Kogo uwzględnić? Kto „jeszcze” jest Żydem – kto, chociaż całkowicie się zasymilował, zmienił religię, nazwisko, pochodzi z mieszanego małżeństwa itp., a kto „już nie jest” – mimo że zachowało mu się przypadkiem żydowskie nazwisko (po pradziadku ojca), albo, choć ma samych wspaniałych przodków Żydów, to z jakiegoś względu za Żyda się nie uważa, ba, absolutnie nie życzy sobie, by tak go postrzegano.

Czy definicja halachiczna jest dobra? A co z ludźmi, którzy mają żydowskich ojców i za Żydów się uważają? Co z takimi, którzy mają żydowskie matki i nie chcą być Żydami? Może lepsza jest

**W debacie *Kto jest Żydem* mamy przeważnie do czynienia z dwoma ruchami: rozszerzaniem kategorii „Żyda” i równoległym jej zawężaniem.**



definicja liberalna: Żydem jest ten, kto się za Żyda uważa. I znów pojawiają się wątpliwości: co z ludźmi postrzeganymi jako Żydzi przez innych, niekoniecznie antysemitów? Co z takimi, którzy, nie mając żadnych żydowskich korzeni, uważają się mimo to za Żydów? Cóż wreszcie zrobić z tymi, których losy w XX w. były losami typowych Żydów, były naznaczone prześladowaniami, piętnem śmierci, a którzy – nierzadko na skutek wojennej traumy – z żydostwem zerwali, zapragnęli zepchnąć je w nieświadomość? Czy poczucie wystarcza? Czy uznawanie kogoś za Żyda nie jest gestem niestosownym, czy nie godzi w prywatność drugiego człowieka? Czy rygorystyczne przestrzeganie zasady ochrony prywatności (zwłaszcza po śmierci konkretnej osoby) nie bywa przeszkodą w badaniach naukowych, w zrozumieniu zasadniczych procesów zachodzących w cywilizacji Zachodu? Czy można napisać nowożytną historię Żydów bez uwzględnienia tych, którzy za Żydów się nie uważali, choć za Żydów ich uważano – przed, w trakcie i już po Zagładzie?

Pytania te towarzyszą mi jako redaktorowi „Midrasza” od lat. O kim pisać? O kim już nie? Powróciły one podczas niedawnej dyskusji w Żydowskim Instytucie Historycznym na temat leksykonu „Żydzi polscy. Historie niezwykle” – książki kontrowersyjnej, gdzie dobór haseł wzbudził burzliwe debaty. Nie będę ich streszczał – zapis ŻIH-owskiej dyskusji zapewne ukaże się drukiem (jeden z ważnych głosów, Stanisława Krajewskiego, przybrał już postać artykułu – zainteresowanych odsyłam do „Midrasza” 2010, nr 6). Pozwolę sobie tylko powtórzyć kilka własnych uwag.

W debacie *Kto jest Żydem* mamy przeważnie do czynienia z dwoma ruchami: rozszerzaniem kategorii „Żyda” i równoległym jej zawężaniem. Ekstremum postawy pierwszej bywa *de facto* równoznaczne z przyjęciem kryterium „krwi”: o byciu bądź nie byciu Żydem decydują czynniki wyłącznie etniczne. Żydem jest taka osoba, która miała

– udokumentowanych bądź domniemanych – przodków Żydów. Jej własne samookreślenie nie ma tu nic do rzeczy. O tym, jak zwodnicze i niebezpieczne to kryterium, nie trzeba przekonywać kogoś, kto zna historię XX wieku i wie, jak ponure żniwo zebrały ustawy normy-berskie.

Kompromitacja kryterium „pochodzeniowego” wymusza swoistą kontrakcję, zawężenie kategorii „Żyda” do zakresu obejmującego wyłącznie osoby, które same deklarują się jako Żydzi, a nawet wężziej – takie, które pozostają aktywne „na żydowskiej ulicy”, przynależą do żydowskich stowarzyszeń, gmin wyznaniowych, posługują się żydowskim językiem, tworzą żydowską kulturę (cokolwiek, skądinąd, miałyby to znaczyć) itd.

I od razu pojawiają się wątpliwości: to prawda, kategoria „żydowskich Żydów” (i wiążące się z nią przekonanie, że tylko ich za Żydów uznać wypada) jest niezwykle klarowna i poręczna. Tyle że znacznie zubaża żydowski „krajobraz”. Żydowskie losy w czasach nowożytnych (o ostatnim stuleciu nie wspominając) ułożyły się tak, że Żydami byli i są nie tylko ludzie aktywni na „żydowskiej ulicy”, nie tylko członkowie żydowskich stowarzyszeń i pracownicy takowych instytucji. Pojęcia „żydowskiej społeczności”, także „żydowskiego losu” są o wiele szersze, elastyczne, niejednoznaczne. Gdybyśmy kategorię „Żyda” ograniczyli wyłącznie do „żydowskich Żydów”, „Żydów instytucjonalnych” itd., i pod tym kątem opisywali żydowskie dzieje, otrzymalibyśmy obraz tak samo skrzywiony jak wówczas, gdybyśmy przyjęli, że Żydami są absolutnie wszyscy ludzie, którym przydarzyło się mieć odległego żydowskiego antenata.

A zatem wynika z tego, że trzeba szukać kryteriów pośrednich: węższych niż „rasowe” i szerszych niż „instytucjonalne”. Bez tego nie zrozumiemy ani emancypacji, ani asymilacji, ani historii nowoczesności, w której żydowski los, niesłuchanie przecież zróżnicowany, skupia się jak w soczewce. O to, jakie powinny być to kryteria, historycy czy socjologowie spierać się będą jeszcze

dłgie dziesięciolecia. Osobiście jestem przekonany, że żadnego uniwersalnego kryterium nie znajdą. I pewnie dobrze. Chciałbym tylko zwrócić uwagę na dwa podobne do siebie, choć przeciwne zjawiska, które nagminnie pojawiają się przy okazji określania „kto jest Żydem”.

Pierwsze z nich określiłbym mianem „naciągania”, drugie – „reglamentowania”. Naciąganie (parają się nim antysemita, ale nie tylko) polega na wyszukiwaniu wszystkich możliwych osób, którym da się dowieść żydowskie pochodzenie, a potem przedstawianiu ich jako Żydów. Tym, którzy to czynią, nie przyświecają złe intencje. Bywa, że biografami czy autorami stosownych leksykonów powoduje nieroztropne poczucie dumy. Oto ten i ten, sławny, piękny, bogaty, okazał się Żydem (w leksykonach przeważnie nie ma ludzi nieznanymi, biednymi i brzydkimi). Względnie, w wersji antysemita: jeszcze jeden niegodziwiec, zbrodniarz i szubrawiec miał żydowskich przodków! Naciąganie pozwala tedy udowodnić tezę następującą: wśród ludzi sławnych i wpływowych było i jest wielu Żydów. O kształcie wniosków w oczywisty sposób decyduje sympatia bądź wrogość do Żydów, poza tym mechanizm „naciągania” jest w obydwu wypadkach bardzo podobny.

Mamy jednak do czynienia z naciąganiem łagodniejszym, choć, bywa, równie zwodniczym. Chodzi mi o uwypuklanie, często nadgorliwe, domniemanego wpływu, jaki żydowskie pochodzenie polityka, artysty, osoby publicznej, postaci historycznej itp. miało na jego życie, twórczość i dzieło. Porzućmy antysemita. Nadmiernie „żydowska” biografistyka i interpretacja, zwłaszcza w odniesieniu do twórców czy polityków zasymilowanych, potrafi być równie zniekształcająca, co strategia przeciwna, zasadzająca się na przemilczaniu żydowskiego pochodzenia danej osoby – choćby sam fakt, że człowiek ów był z pochodzenia Żydem, miał niebagatelny wpływ na jego życie i los. Biorąc przykład pierwszy z brzegu: Bruno Schulz kabalista – wydaje się takim samym nadużyciem, co Schulz pi-

sarz wyłącznie polski. Tajemnica Schulza (i setek jemu podobnych ludzi) zasadza się na tym, że określenie prostych granic obszaru, jaki zajmowała jego tożsamość, okazuje się niemożliwe.

Powiedzieliśmy o przemilczaniu. To praktyczna postać wspomnianej „reglamentacji”. Wynika z kilku rozmaitych przekonań i, podobnie jak „naciąganiu”, nie zawsze towarzyszą jej całkiem czyste intencje. Zaczniemy od ostatniego przypadku. Jest on w istocie odwrotnością antysemitckiego gestu „naciągania” i służy przeważnie świadomemu umniejszeniu roli Żydów w kulturze państwa, społeczeństwa, narodu, przedstawieniu historii i kultury jako „etnicznie czystych”. Nie idzie tu tylko o – notoryczne w Polsce – pomijanie wkładu „żydowskich Żydów” w dzieje ziem polskich i polski dorobek cywilizacyjny. Chodzi też o przeciągnięcie osób o „niepewnej” tożsamości na własną stronę, swoiste ich (przepraszam za paskudne słowo) „odzydzenie”. Zgodnie z przedwojennym dowcipem o dwóch Rubinsteinach, z których jeden, Artur, to wielki Polak, a drugi, Mosiek (a też, bywało, Tuwim, Leśmian, współczesna lista byłaby długa) – parszywy Żyd.

Ale przemilczanie faktu, że osoba była z pochodzenia Żydem, niekoniecznie musi wiązać się z antysemitickimi poglądami. Często, w tzw. dobrym towarzystwie, ufundowane jest ono na przekonaniu, że określanie człowieka

jako Żyda jest czymś niewłaściwym. Po pierwsze dlatego, że czynią tak antysemita. Po drugie, ponieważ żydostwo, czy szerzej: pochodzenie, jest sprawą prywatną, intymną, co do której obowiązuje nas dyskrekcja. Nieuchronnie wiąże się z tym inne przeświadczenie (niestety niepozbawione solidnych podstaw empirycznych): upowszechnienie wiedzy o żydowskich pochodzeniu naraża konkretną osobę na nieprzyjemności, może być dla niej wręcz niebezpieczne. Zachowanie dyskrekcji ma naturalnie swoje dobre strony: skoro ktoś nie chce, by inni wiedzieli o tym, że jest Żydem (lub jego przodkowie byli Żydami), winniśmy respektować jego wolę, licząc na to, że również ktoś inny zachowa się dyskretnie w naszym przypadku (o czymkolwiek nie życzylibyśmy sobie mówić).

Bywa jednak i tak, że dyskrekcja, jeżeli przyjmuje (w przypadku osób publicznych, gdy ich pochodzenie jest przysłowiową tajemnicą poliszynela) formy obsesyjne, staje się pożywką dla ludzi, którzy z takich albo innych względów ją odrzucają, np. wykorzystując milczenie do tworzenia teorii spiskowych. Wówczas dyskrekcja, jaką otacza się kwestię pochodzenia znanego człowieka, stanowi dowód na nieczyste intencje „ukrywających” i argument za „demaskacją”. Powie ktoś: trudno, taka natura dyskrekcji. Z faktu, że istnieją osoby wścibskie, kierujące się złą wolą,

niegodziwe, nie powinniśmy wyciągać wniosków, że nie warto respektować woli konkretnego człowieka. Chętnie się z tym zgodzę, choć przestrzegalbym przed stosowaniem tej zasady zawsze i wszędzie. Czasami bywa bowiem i tak, że skórka okazuje się nie warta wyprawki, a ściśle ukrywanie pochodzenia człowieka (zwłaszcza nieżyjącego) uderza rykoszetem w niego samego i jego życiorys, który staje się obiektem niezdrowych domniemań i bzdurnych teorii.

Rzecz w tym, że ścisła „reglamentacja” zmienia się nierzadko we własną karykaturę. Jak pisać biografię znanego człowieka, zmarłego niedawno, który był z pochodzenia Żydem, a jego pochodzenie niewątpliwie miało wpływ na jego los i wybory życiowe, pomijając ten fakt, dyskretnie milcząc? Czy biografia będzie udana? Zapewne nie – jak wówczas, można by dodać od razu, gdyby interpretować życiorys tego człowieka wyłącznie poprzez ten jeden element biografii. Cóż zatem powinien zrobić ewentualny biograf, monografista? Jasne jest, że każdy przypadek powinien być rozpatrywany osobno. Żyjących trzeba zapytać o zdanie. W przypadku niedawno zmarłych – wypada uwzględnić wolę najbliższej rodziny, choć nie sądzę, że np. historyk winien się jej trzymać w sposób rygorystyczny. Na koniec „kwestię pochodzeniową” należy dokładnie zważyć lub przekonywająco pokazać, że pochodzenie (np. żydowskie) miało istotnie decydujący wpływ na człowieka; albo też odwrotnie: zdemonstrować, że dana osoba Żydem „już nie była”, i to nie tylko dla siebie, ale i dla świata. Taka strategia w żadnym razie nie daje odpowiedzi na pytanie „Kto jest Żydem?”, ale jakoś przybliży nas do konkluzji, że Żydem można być lub nie być na wiele różnych sposobów. Samo w sobie brzmi to, mniemam, względnie optymistycznie.

**Piotr Paziński**, dziennikarz, eseista, krytyk literacki i tłumacz. W latach 1992–1997 był dziennikarzem Działu Zagranicznego „Gazety Wyborczej”. Od 1997 dziennikarz, a od 2000 redaktor naczelny miesięcznika „Midrasz”. Laureat Paszportu Polityki 2009, nominowany do literackiej nagrody NIKE za powieść *Pensjonat*.

Bywa jednak i tak, że dyskrekcja, jeżeli przyjmuje (w przypadku osób publicznych, gdy ich pochodzenie jest przysłowiową tajemnicą poliszynela) formy obsesyjne, staje się pożywką dla ludzi, którzy z takich albo innych względów ją odrzucają, np. wykorzystując milczenie do tworzenia teorii spiskowych

